Nie zawsze na poważnie

W czterech kolejnych wydaniach GEODETY poruszałem istotne i strategiczne tematy. Niektórzy czytelnicy uważają, że zbyt poważne i daleko idące. Bo kto to widział, żeby proponować zmiany w przepisach dotyczących sądownictwa i krytykować sędziów. Albo mieć zasadnicze i jeszcze krytyczne uwagi do przepisów o standardach.

Są też internauci, którzy uważają, że Grzechnik tymi artykułami się lansuje, bo chce jeszcze przed emeryturą załapać się na jakieś ważne stanowisko, np. w samorządzie zawodowym. Jest to dobry dowcip, bo już zapomniałem, kiedy przeszedłem na emeryturę, a na żadne stanowiska się nie wybieram, bo wszelkie możliwe już zaliczyłem. Niech więc osoby, którym temat ten spędza sen z powiek, biorą z marszu te wszystkie posady i funkcje, bo mnie już one nie interesują. Nie występowałem jeszcze tylko w roli „Maliniaka", ale żadnemu geodecie tego nie życzę. Dlatego będę pisał i walczył na wszystkie sposoby, aby nasz piękny zawód nie popadł w zupełną ruinę. No i znów zrobiło się poważnie i pompatycznie. Przepraszam. Zmieniam ton i temat.

Dla rozluźnienia atmosfery i wywołania uśmiechu postanowiłem podzielić się z czytelnikami GEODETY nietypowymi, często zabawnymi, sytuacjami z mojej pracy zawodowej i społecznej. A zebrało się tego sporo, bo pracowałem i udzielałem się w wielu miejscach. W administracji geodezyjnej wszystkich szczebli (miasto, województwo, GUGiK), w produkcji (pracownia geodezyjna, Libia, Kuwejt, własna firma), w szkolnictwie (technikum i Politechnika Warszawska), jako biegły sądowy, inspektor nadzoru, rzeczoznawca majątkowy, pośrednik w handlu nieruchomościami, zarządca nieruchomości, w komisjach kwalifikacyjnych do spraw uprawnień zawodowych geodetów, a także rzeczoznawców majątkowych, w Państwowej Radzie Geodezyjnej i Kartograficznej, SGP, GIG czy PFRM. Ale zacznijmy od początku.

Nie masz fachowca nad pomiarowca

Mój pierwszy kontakt z geodezją był nietypowy. Będąc uczniami Liceum Ogólnokształcącego w Rykach, stwierdziliśmy z kolegami, że jacyś ludzie rozstawiają po mieście tyczki i wykonują pomiary. Ale to jeszcze nic. Wieczorami balują i „rwą" na potęgę co ładniejsze dziewczyny. Szczególnie ich szef był pod tym względem skuteczny i właśnie jego nazwaliśmy „fachowcem". Po latach okazało się, że w zespole tym pracował jako pomiarowy mój późniejszy serdeczny przyjaciel Kazio Dziewałtowski. W pełni potwierdził zdolności geodezyjne i „negocjacyjne" swego kierownika.

Szachy – idealny relaks i ćwiczenie umysłu

Po maturze trafiłem do Technikum Geodezyjnego w Warszawie (do 2-letniej szkoły pomaturalnej). Dyrektorem był prof. Stanisław Kluźniak, świetny wykładowca i wspaniały człowiek. Słuchając jego wykładów, można się było zakochać w geodezji. Niestety, profesor wkrótce zmarł, a na jego miejsce powołano bardzo groźnego matematyka.

Mieliśmy wolną lekcję, na której grałem z kolegą w szachy. Było trochę głośno. Wpada dyrektor i towarzystwo ucisza. Zgodnie z regulaminem wszyscy stoimy na baczność, ale ja patrzę na szachownicę i widzę, że partner, korzystając z zamieszania, buchnął mi pionka. Pochylam się i uśmiecham. A na to dyrektor: Dlaczego śmiejecie się z dyrektora? Proszę do mnie do gabinetu! Była poważna rozmowa z groźbą usunięcia ze szkoły, a moje szachowe opowieści uznano za niewiarygodne. Ale za jakiś czas miałem okazję do drobnego rewanżu. Wystartowałem w szkolnym turnieju szachowym, do którego zgłosił się także dyrektor. Dochodzi do naszego spotkania. Przeciwnik gra bardzo dobrze, pilnuję się, ale zmuszony jestem za wieżę i gońca oddać królową. Dyrektor pyta: No co, poddaje się pan? A ja na to: Chwilę jeszcze pograjmy. I po trzech ruchach widzi, że dostanie mata. Zrywa się z miejsca, mówi „poddaję się" i bez słowa „dziękuję" odchodzi. Oprócz słodkiej zemsty ta wygrana dała mi zwycięstwo w całym turnieju. Obecnie często gram z komputerem.

Jak geodezja przesądziła o moim życiu prywatnym

Jestem na czwartym roku studiów na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Mój kolega Janusz Bojar wraz z żoną, która studiuje polonistykę na UW, wpadają na pomysł, aby zorganizować „prywatkę" (tak się kiedyś nazywało dzisiejszą „imprezę"). Janusz zaprasza sześciu swoich przyjaciół z geodezji, a jego żona sześć koleżanek z polonistyki.

Na tym spotkaniu poznaję śliczną, wspaniałą dziewczynę Kasię Lewandowską, która po półtora roku zostaje moją żoną. I jak tu nie wierzyć w geodezję! Miałem tylko pewien dylemat, bo oprócz mnie Kasia darzyła wielką miłością jeszcze dwóch panów: Chopina i Napoleona, ale jakoś Jej to wybaczyłem. Niektórzy koledzy, np. na konferencji w Pogorzelicy, słyszeli i wspominają do tej pory Jej wykład o życiu i twórczości Chopina z mazurkami, polonezami, nokturnami i etiudami w tle wyświetlanych slajdów. Wykłady takie dla dzieci, młodzieży i dorosłych prowadziła w wielu miejscach. Szkoda, że nie zdążyła przygotować podobnych wykładów o Napoleonie.

Rekord w liczeniu na arytmometrze

Mimo stypendium na PW, które w całości wydawałem na opłacenie posiłków, z kasą na początku studiów nie było najlepiej. W pierwszych latach udzielałem korepetycji z matematyki. Kiedy jeden z moich podopiecznych dostał się do Szkoły Mor-

skiej, to jego tata komandor był tak szczęśliwy, że na pożegnanie pocałował mnie w rękę! Ale już od trzeciego roku udawało mi się zdobywać prace geodezyjne. Wojewódzkie Biuro Geodezji i Urządzeń Rolnych w Warszawie zlecało studentom tzw. II fazy ewidencji gruntów (obliczanie powierzchni obrębów, działek, klas i użytków oraz układanie rejestrów). Była to doskonała praktyka, a przy okazji niezła kasa (mimo że stawki były jak dla studentów). Dostałem duży obiekt i bardzo krótki termin. Pobrałem z mapy wszystkie niezbędne miary, a ze szkiców polowych czołówki, wpisałem je do dzienników obliczeń, ale nie miałem arytmometru. Kolega, który jako jeden z niewielu kupił sobie to wspaniałe urządzenie (dziś już zapomniane), zgodził się pożyczyć mi je w sobotę, ale w niedzielę musiałem je zwrócić.

Wystartowałem w sobotę o 12.00 w południe i po 25 godzinach pracy o 13.00 w niedzielę zakończyłem obliczenia i oddałem arytmometr. Do tej pory nie wiem, jak można było tyle czasu umysłowo i fizycznie pracować i nie popełnić błędów. Każdą powierzchnię liczyło się dwa razy i musiały się zamknąć wszystkie obręby. Z czterdziestu chyba tylko trzy za pierwszym razem miały za duże odchyłki i musiałem je powtórnie liczyć. Terminu dotrzymałem, a praca ta nauczyła mnie, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Pierwsza praca i kawalerka od ręki

Za moich czasów zniesiono nakazy pracy, ale wprowadzono tzw. stypendia fundowane. Stypendium takie od czwartego roku studiów otrzymywałem z miasta Żyrardowa. Po uzyskaniu dyplomu tuż przed Bożym Narodzeniem pojechałem tam z nadzieją, że może mi odpuszczą, bo kilku kolegów załapało się do kopalni siarki w Tarnobrzegu i bardzo to sobie chwalili. Przyjmuje mnie przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej.

– No to co, inżynierze, skończyliście studia?

Żeby go zniechęcić, odpowiadam w tym samym tonie:

– Tak skończyliśmy!

– I chcecie rozpocząć pracę?

– Chcemy!

– No to zaczynajcie!

– Ale nie mamy gdzie mieszkać.

– To sobie wynajmijcie!

– Ale nie mamy za co!

I tutaj zaczynam mówić o Tarnobrzegu i sugeruję, że może miasto zrezygnuje z mojej pracy. Przewodniczący gdzieś dzwoni i za chwilę wchodzi urzędnik. Przewodniczący pyta go:

– Słuchaj, masz tam jakieś kawalerki?

– A są jeszcze trzy.

– To dawaj od jednej klucze.

Urzędnik przynosi za chwilę klucze, przewodniczący wręcza mi je i mówi: – Urządźcie się jakoś, bo od 1 stycznia zaczynacie pracę.

Dobrze, że tak się stało, bo była najciekawsza praca, jaką wykonywałem. Moją ówczesną sytuację porównać można tylko z wrzuceniem do basenu niemowlaka, który albo będzie pływać, albo utonie. Wygląda na to, że nie utonąłem, bo jestem, pracuję i piszę.

Zaskakująca nominacja

Staż pracy trwał wówczas rok. W pracowni było zatrudnionych kilkanaście osób, ale oprócz kierownika z tytułem inżyniera nie było pracowników z wyższym wykształceniem. Szef często chorował, w związku z czym w miarę swoich skromnych możliwości (żółtodzioba) starałem się mu pomagać, chodziłem za niego na różne narady oraz spotkania i dosyć często zabierałem głos.

Po pół roku mojej pracy kierownik pracowni ciężko zaniemógł i ze zwolnienia już nie wrócił. Któregoś dnia dzwoni do mnie kierownik wydziału gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, który nadzorował naszą pracownię, i prosi, żebym do niego przyszedł. Obok jego biurka siedzi jakiś człowiek. Siadam i słucham. Trzeba jeszcze dodać, że nasz przełożony wydawał mi się bardzo łagodny i sympatyczny. Rozmowę z tym trzecim rozpoczyna tak: Interesuje pana stanowisko kierownika Miejskiej Pracowni Geodezyjnej? Tamten odpowiada: Tak, interesuje! To w takim razie załatwimy sprawę w trzech rundach. Pierwsza runda. Jest pan hochsztaplerem i stanowiska tego pan nie dostanie. Runda druga. Kierownika pracowni już mamy i siedzi obok pana. Trzecia runda. Do widzenia panu.

W taki sposób w połowie stażu zostałem kierownikiem pracowni. Nie wiedziałem tylko, czy mam się cieszyć, czy płakać. Pracowałem po 12 godzin na dobę, a często także w niedzielę, bo oprócz kierowania ludźmi i załatwiania trudnych spraw administracyjnych trzeba było po godzinach urzędowania wykonywać konkretne prace terenowe na tzw. książkę zamówień. Bez tych dodatkowych zarobków nie dało się przeżyć. Mimo ogromnego wysiłku była to prawdziwa praktyka (podziały, rozgraniczenia, mapy do celów projektowych, tyczenie suwnic, kominów, wiaduktu itp.).

Reklama dźwignią handlu

Jest to znane hasło, ale używam go w nietypowym kontekście. Czas szybko mija, w Miejskiej Pracowni w Żyrardowie zatrudniam już sześciu inżynierów, sami zakładamy ewidencję gruntów dla miasta, a także ewidencję sieci uzbrojenia terenu i mapę zasadniczą. Władze miasta nas cenią, ale pieniędzy na podstawowe prace geodezyjne jest zawsze za mało.

W Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym w Warszawie rewelacja – zainstalowano maszynę cyfrową Aritma, na której można sporządzić tzw. rejestr kolorowy ewidencji gruntów. Jadę tam i pytam, jak długo trwa taka operacja. Kierownik tego działu podaje następujący scenariusz:

a) przywozi pan rejestr gruntów,

b) przez dwa tygodnie sprawdzamy go i poprawiamy błędy,

c) następne dwa, trzy tygodnie drukujemy rejestr kolorowy.

Czyli łącznie zajmie to blisko miesiąc. Ja mu na to, że w takim razie ustalmy termin dwa tygodnie, bo u nas rejestr gruntów jest bezbłędny. Założył się ze mną o wiadro wódki, że znajdzie błędy. I choć mimo starań nie znalazł, to wiadra gorzałki nie postawił. Ale nie o to chodzi.

Odebrałem rejestr, przeglądam go i podziwiam, bo jest tam wszystko, co było wówczas możliwe. Nagle dzwoni telefon. Ten sam przewodniczący, który przyjmował mnie do pracy, ma do mnie taką półprywatną sprawę. Prosi o informację o konkretnej działce w mieście, najlepiej w ciągu 2-3 dni, bo to dla niego bardzo pilne. A ja w czasie tej rozmowy już znalazłem „jego" działkę w moim rejestrze i wszystko o niej wiem. Pytam, czy ma coś do pisania, i zaczynam dyktować: nr księgi wieczystej, powierzchnię, klasy, użytki, numer policyjny, a także wszystkie dane o właścicielach. W słuchawce cisza. Za chwilę pada pytanie: Panie inżynierze, to pan na pamięć zna wszystkie dane o działkach w mieście? A ja odpowiadam: Jak jest się szefem tak ważnej pracowni, to musi się znać takie dane. Od tej pory nie mieliśmy już żadnych kłopotów z budżetem i wielokrotnie byliśmy stawiani jako wzór innym pracowniom i wydziałom.

Obsługa interesantów

Przed moim przyjściem do miejskiej pracowni był taki zwyczaj, że wyrysy z ewidencji gruntów wykonywali budowlańcy z innych wydziałów. Kierownik udostępniał im materiały, a potem wyrysy te podpisywał, nie pobierając opłat. Natomiast oni brali od właścicieli kasę. Postanowiłem zakończyć ten proceder, bo oprócz tego, że była to strata dla pracowni, to dokumenty te często rysowano jak kura pazurem. Przychodzi do mnie właścicielka nieruchomości i prosi o podpisanie takiego wyrysu (a wcześniej uprzedziłem kolegów z wydziału budownictwa, że nie będę poświadczał takich dokumentów). Mówię, że tylko my możemy wyrysy spo-

rządzać. Zrobiła się awantura, że to będzie nie wiadomo ile trwało i na pewno dużo kosztowało, więc ona idzie na skargę do mojego przełożonego. Zapytałem ją, czy ma coś do załatwienia w mieście i o której może wrócić. Zapowiedziała się na 15.00. Kreślarce, pani Basi, przekazałem sprawę jako superpilną, prosząc, żeby wyrys ten nadawał się na konkurs. Pani Basia, która ręcznie kreśliła i opisywała nie gorzej niż obecnie drukarki i plotery, wywiązała się z zadania na szóstkę. Przychodzi klientka, przekazuję jej 3 egzemplarze poświadczonych kopii i proszę, żeby sobie porównała z tym swoim wyrysem. Ona pyta, ile płaci. Ja mówię, że nic, bo to jest prezent od „firmy". Jak wiadomość ta się rozniosła, skończyły się problemy z wyrysami kolegów budowlańców.

Klasa mierniczego przysięgłego

Jedną z pierwszych większych prac, którą musiałem skontrolować i przyjąć do zasobu, był podział pod budownictwo jednorodzinne zgłoszony przez mierniczego przysięgłego inż. Edwarda Lewandowskiego. Wiedziałem, że jest to renomowana firma, ale prace tym razem wykonywali prawdopodobnie jego nowi pracownicy, a on jedynie przyniósł zgłoszenie, a potem operat. Nie zrobili tego najlepiej, a on pewnie nie miał czasu sprawdzić. Napisałem protokół na jakieś 10 stron, punktując, jak pracę wykonano, a jak powinna być wykonana według konkretnych przepisów (artykuł, paragraf). Czytając ten protokół, pan Lewandowski na przemian bladł i czerwieniał. Byłem pewien, że będzie awantura. A reakcja była inna: Tak jest, panie kierowniku, wszystko będzie poprawione. Potem wiele razy współpracowaliśmy. Od czasu do czasu przypominał mi, że postawiłem go na baczność, ale słusznie, bo za bardzo zaufał pracownikom.

Emocje i sprawdziany, które bezpowrotnie odeszły

Wrócę jeszcze do zakładanej przez pracownię ewidencji gruntów. Jedynym urządzeniem do obliczeń był – jak wiadomo – arytmometr. Policzyć obręb mający 100 czy 200 punktów to drobiazg. Ale obliczenie powierzchni całego miasta było sporym wyzwaniem. Postanowiłem sprawdzić swoje umiejętności i sam zabrałem się do liczenia. Zamykam się w pokoju, nie ma mnie dla nikogo i nie odbieram telefonów. Po czterech godzinach mam wynik, ale to nie koniec, bo trzeba policzyć drugi raz. Ten drugi etap był znacznie trudniejszy od pierwszego, bo zmęczenie psychiczne, ale także fizyczne dawało się we znaki. Ręka boli, głowa pęka, ale liczę, trochę jak maratończyk. Ostatnie metry i jest! Wynik jest ten sam. Hurrra! Praktyka przy II fazach w czasie studiów się przydała. Musiał to być dla mnie ważny sprawdzian, którego wynik dodawał skrzydeł, jeśli do tej pory ten incydent pamiętam.

„Młody i głupi"

Przychodzi do mnie interesant znany w mieście z tego, że ma pełnomocnictwo od znaczącej ziemiańskiej rodziny i odzyskuje ich nieruchomości. Żadnego zlecenia od niego nie mamy, dlatego myślałem, że może chce, żebyśmy wykonali mu jakieś mapy. Patrzę, że trzyma w ręku zwinięte w spory rulon banknoty i mówi: To dla pana, inżynierze. Odmawiam mu: Pan nie ma u nas żadnej sprawy. On na to: A może będę miał? Jak pan będzie miał, to u nas płaci się w kasie i dostaje się rachunek. Odchodząc, stwierdza: Panie inżynierze, jest pan młody i głupi, chyba jedyny w mieście, ale nic na to nie poradzę. I tak mi w tej sprawie do tej pory zostało, tyle że już nie jestem taki młody. Byłem za jakiś czas u przewodniczącego Miejskiej Rady, który zaczyna mówić o tym właśnie człowieku i twierdzi, że na pewno wszystkich w urzędzie przekupił, dlatego tak łatwo odzyskuje te tereny. Wówczas powiedziałem mu, jak to wyglądało ze mną, i że prawdopodobnie popełniłem błąd, bo chyba i tak jestem w gronie podejrzanych. Uwierzył, bo mnie przeprosił.

Nie daj się poniżać dla stanowiska

Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej co poniedziałek zwoływał narady robocze wszystkich kierowników. Zauważyłem, że na każdym zebraniu wybiera sobie kozła ofiarnego i beszta go z góry na dół. Byłem przekonany, że przyjdzie też na mnie pora, i postanowiłam nie pozwolić na takie traktowanie. No i się doczekałem. Po moim wystąpieniu stwierdził, że przedstawione informacje na temat prac geodezyjnych dla miasta i obywateli to bzdury i zbędne szczegóły. Jak skończył, poinformowałem go, że absolutnie nie ma racji i nie życzę sobie takiego traktowania naszej pracy i języka, którego używa. Po tym nie pozostało mi nic innego, jak zrezygnować z pracy i wyjść. Wiceprzewodniczący był tak zaskoczony, że nie wiedział, jak się zachować. Dobiegł do mnie, przeprosił, stwierdził, że nie miał złych zamiarów, że ceni naszą pracę i apelował, żebym zmienił decyzję. I od tego czasu już nikogo nie poniewierał.

Praca społeczna to cenne doświadczenie

Do SGP należę ponad pół wieku. Na pierwszą konferencję przyjechałem do Warszawy. Nie pamiętam tematu, który poruszał dyrektor WPG Wacław Kłopociński. Znałem tylko nazwisko i bardzo pozytywne opinie o dyrektorze. Wypowiedź była wyjątkowo emocjonalna i krytyczna, a na znak protestu oświadczył, że opuszcza to zgromadzenie. Po ustaniu oklasków w zupełnej ciszy przeszedł kilkadziesiąt metrów do wyjścia i z całej siły trzasnął drzwiami. Pomyślałem sobie, że z takim człowiekiem z charakterem chciałbym współpracować. W związku z tym zapisałem się do Sekcji Geodezji Miejskiej, której pan dyrektor był szefem. I tak zaczęła się nasza współpraca, która po kilkunastu latach zaowocowała przekazaniem mi przez pana Wacława prowadzenia wyjątkowych konferencji w Nowym Sączu i kierowania sekcją. Każde spotkanie z takim człowiekiem było dla młodego adepta sztuki geodezyjnej wspaniałą nauką i doświadczeniem. Jeśli nie czytali Państwo monografii jubileuszowej „Nowy Sącz miasto spotkań geodetów 1971-2009" opisującej 20 konferencji nowosądeckich, to bardzo zachęcam. Marian Ryczek z Sącza, współorganizator tych spotkań, obiecał umieścić tę książkę w internecie. Jest to nie tylko historia konferencji, ale historia 40 lat geodezji i kartografii, a najbardziej historia setek wspaniałych ludzi, którzy przygotowywali referaty, organizowali konferencje i uczestniczyli w tych spotkaniach, dyskutując o najbardziej aktualnych problemach naszego zawodu.

Wspomnę jeszcze o jednej tajemniczej historii, której nie znałem, pisząc monografię. Nowy Sącz wybrał na te spotkania prof. Czesław Kamela, który zaraz po studiach wykonywał scalenia gruntów między innymi we wsi Kąclowa. Po latach, będąc na konferencji w Nowym Sączu, pojechał tam, żeby spotkać się z rodziną gospodarzy, u których mieszkał. Szczególnie dopytywał się o ich córkę. Okazało się, że rodzina ta z Kąclowej wyjechała. Sąsiedzi opowiedzieli, jak to się stało. Ojciec tej dziewczyny miał niesamowite szczęście, bo w stodole znalazł bardzo cenny zegarek, sprzedał go i dzięki temu mógł dobrze wydać córkę za mąż. A pan profesor po chwili zadumy mówi: No tak, to był mój zegarek.

Geodezja miejska w województwie warszawskim

Przenosimy się z żoną i pierwszą córeczką do Warszawy, a mnie znów zapędzają do roboty. Główny geodeta województwa warszawskiego to brzmi dumnie. Ale mamy tylko 5 miast wydzielonych, gdzie działają miejskie pracownie geodezyjne. Reszta miast jest w „rolnictwie" i geodezyjnej rozsypce. Udaje

się je wszystkie przejąć i zorganizować w nich na początku stanowiska geodetów miejskich, a potem referaty czy wydziały geodezji.

Można by dużo pisać o zabawnych i mniej zabawnych 5 latach pracy, ale tu opowiem tylko jedną historię. Najgorsza sytuacja, jeśli chodzi o miasta wydzielone, była w Płocku. Namawiam przyjaciela ze studiów, Tomka Dąbrowskiego z Białegostoku, żeby zgodził się zostać kierownikiem pracowni. Władze miasta mówią, żeby przychodził i jakoś to będzie.

Umawiam się z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej, bardzo ważną osobą (późniejszym członkiem KC). Przyjmuje mnie wspólnie z szefami głównych wydziałów miasta, ale po 2 godzinach rozmowy widzę, że nic konkretnego nie proponuje. W końcu mówię, że bez zapewnienia odpowiednich warunków nie mogę proponować koledze (świetnemu fachowcowi) samobójstwa. Nerwy jemu też puszczają i odpowiada: Co chcecie, inżynierze, żebym podpisał wam cyrograf? A ja spokojnie mówię, nie, panie przewodniczący, wystarczy mi pańskie słowo, że załatwi pan trzy sprawy: odpowiedni lokal na pracownię, mieszkanie dla 4-osobowej rodziny i ryczałtowe godziwe wynagrodzenie, bo kierownik przy takiej zapaści geodezji nie będzie miał czasu na pracę na książkę zamówień. W odpowiedzi słyszę: Dobrze, zastanowię się i zadzwonię do was.

Przez 3 miesiące była cisza. Nagle telefon: Przyjmuję pańskie warunki, niech Dąbrowski przyjeżdża. Bez cyrografu wszystkiego dotrzymał, dawał też mieszkania nowo przyjmowanym pracownikom i w ciągu 5 lat dzięki Tomaszowi Dąbrowskiemu Płock miał najlepszą Miejską Pracownię w województwie. Okazuje się, że tak samo wtedy, jak i teraz trzeba walczyć o ten zawód, który nie był i nie jest doceniany przez większość decydentów.

Czego powinien pilnować kierownik

Przypomniał mi się także Julian Dąbrowski, kierownik Delegatury GUGiK-u w Warszawie, która włączona została do naszego biura. Była to wyjątkowa osobowość i świetny fachowiec. To od niego na którejś konferencji dowiedzieliśmy się, jaki powinien być kierownik: „kierownik powinien siedzieć na fotelu i pilnować spraw, ale, niestety, wielu kierowników siedzi na sprawach i pilnuje foteli". Kto wie, czy nie warto sprawdzić, jak te relacje kształtują się obecnie.

Prawo do swojego zdania

Do GUGiK na prezesa przychodzi minister Czesław Przewoźnik. Mówi się, że jest zdecydowanym, ostrym szefem i nie znosi sprzeciwu. Proponuje mi pracę. Idę na rozmowę. Mam objąć Biuro Administracji i Nadzoru Geodezyjnego. Widzę, że zna naszą działalność w województwie, które ulega likwidacji (stąd jego propozycja). Proszę o możliwość zabrania ze sobą większości pracowników. Zgadza się i pyta, czy mam jeszcze jakieś życzenia. Zachęcony podnoszę drażliwą sprawę. Proszę, aby pan minister pozwolił mi na wyrażanie własnego odrębnego zdania na kontrowersyjne tematy. Zdziwił się, skąd takie pytanie. A ja mówię, że słyszałem, że pan nie znosi sprzeciwu i lubi pan tylko potakiwaczy. Stwierdził, że to nie jest prawda i oświadczył, że każdego stanowiska wysłucha. Minęły dwa lata, koniec dnia pracy, wzywają mnie do szefa. W gabinecie siedzą wszyscy dyrektorzy i decydenci, a pan minister przedstawia mi propozycję reorganizacji geodezji, którą wszyscy obecni zaakceptowali. Zostałem tylko ja. Oświadcza, że oddajemy ministrowi rolnictwa całą administrację, a my zajmiemy się przedsiębiorstwami. Wówczas będziemy silni. Mnie zamurowało, ale pamiętając naszą pierwszą rozmowę, mówię: Panie ministrze, to będzie największy błąd w całej pana karierze. Była godzina 17.00, kłóciliśmy się do 22.00. Nie muszę chyba dodawać, że nikt

REKLAMA

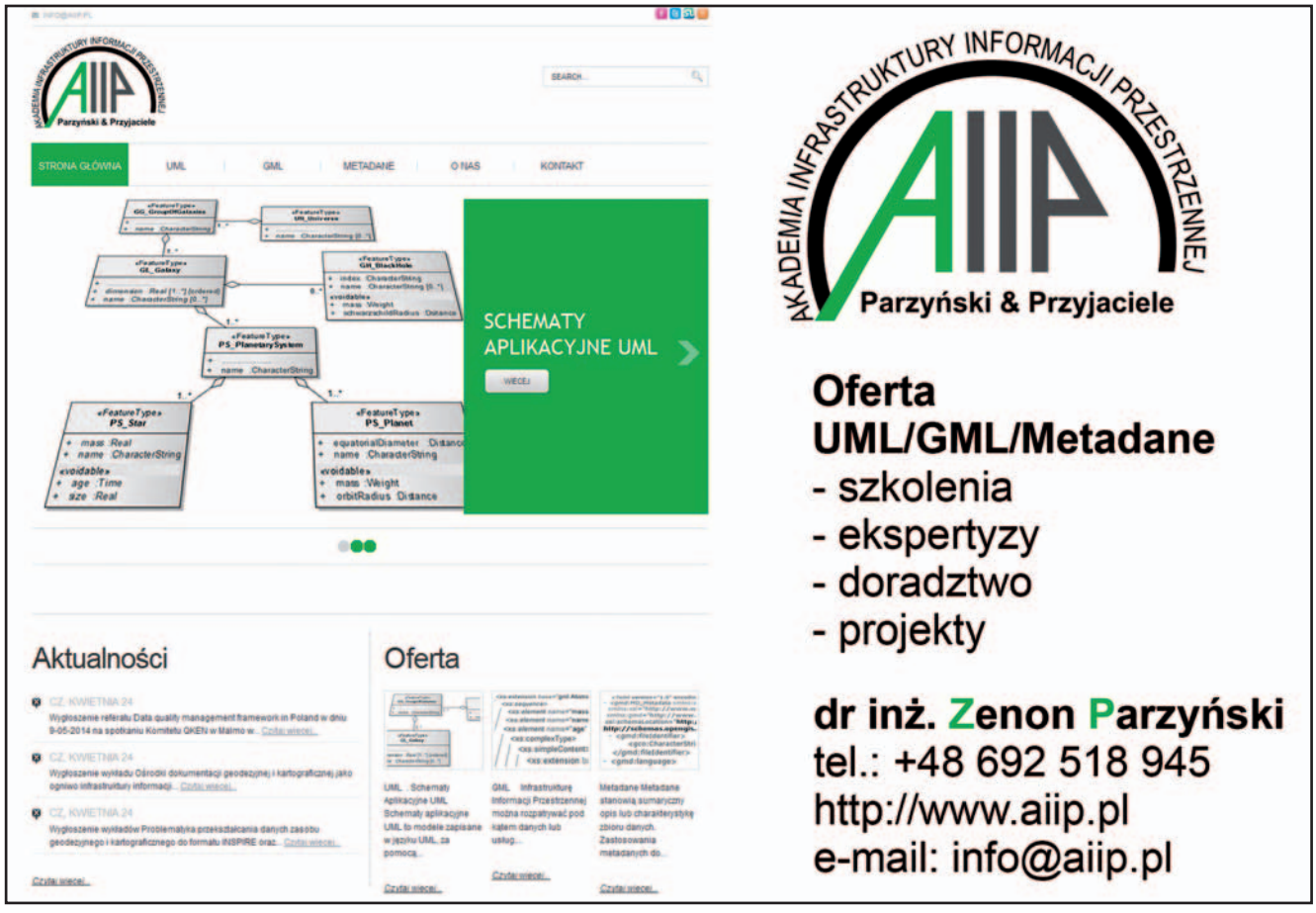

Już za miesiąc: Polskie drogi

Udział geodezji w tworzeniu dokumentacji w pracach przygotowawczych, a także w bezpośredniej obsłudze budowy dróg jest znaczący i bardzo istotny. O problemach i uwarunkowaniach z tym związanych już w czerwcowej rubryce „Bogdan Grzechnik radzi".

Redakcja

z obecnych mnie nie poparł. Wracam do domu i mówię do żony, że od jutra szukam pracy, bo będę na pewno zwolniony.

Następnego dnia rano porządkuję biurko. Telefon od szefa. Idę do niego bez żadnej nadziei i ku swemu zaskoczeniu słyszę: Nie mogłem przez was spać. Odpowiadam: Ja też prawie nie spałem. Szef: Ale sprawę i wasze argumenty przemyślałem i nie zrobimy tej reorganizacji. Przypomniałem mu naszą pierwszą rozmowę i od tej chwili zdecydowanie się polubiliśmy.

Moja rada dla obecnych szefów jest następująca. Jeśli siedzicie na fotelach i dobrze pilnujecie spraw, wasze fotele (stanowiska) są bezpieczne. Dlatego ostro walczcie o ten zawód, miejcie swoje zdanie i nie przytakujcie, żeby tylko się nie narazić i mieć święty spokój.

Jednolity połączony zasób dla całego kraju

W GUGiK obowiązywała wówczas prosta zasada. Na czele każdego biura stał dyrektor wraz z zastępcą. Opracowywali plan działania na każdy rok, akceptowany po dyskusji przez kolegium oraz prezesa i z tego byli rozliczani. Dyrektorami byli doświadczeni geodeci, od których prezes żądał wyników, a nie pytał, jak dojść do celu. Jednym z takich zadań w moim biurze było połączenie zasobów. Rozmowy nic nie wnosiły, bo resort rolnictwa nie był skory do oddania swoich składnic. Jestem w sobotę (na tzw. dyżurze) w pracy, zastanawiam się, co tu zrobić, żeby to jednak załatwić. Proszę na rozmowę pułkownika z Zespołu Wojskowego i pytam: Gdybym napisał pismo ministra do wojewodów zalecające połączenie zasobów w pionie GUGIK, to może pan zawieźć to pismo do ministerstwa? On mówi, że nie ma sprawy. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że musi to być pismo z klauzulą „tajne". Za godzinę mam gotowy tekst. Kolega pułkownik jedzie na ul. Filtrową, gdzie ministrem jest generał. Trafia do asystenta ministra, który mówi, że generał siedzi w gabinecie i się nudzi, więc od razu pismo mu zaniesie. Za chwilę wraca z podpisem.

Takiego scenariusza się nie spodziewałem. Jak zobaczyłem ten podpis, to mocno się przestraszyłem. Byłem przekonany, że pismo zostanie złożone i będzie nabierało mocy urzędowej. Ale jak się powiedziało „a", to trzeba powiedzieć i „b". Natychmiast uruchomiliśmy kancelarię tajną i w tym samym dniu pisma poszły do wszystkich województw. Za dwa dni dzwoni do mnie kolega geodeta z Ministerstwa Rolnictwa z awanturą, co ja najlepszego narobiłem. Ja mówię, że nie wiem, o co chodzi, nie znam tego pisma, a oprócz tego o takich pismach przez telefon się nie rozmawia. A on mi na to: To jakim cudem na tym piśmie jest numer twojego biura? To mnie dopadł! Zapomniałem wpisać tam numer kancelarii tajnej. Zaprosiłem go na rozmowę.

Pieklił się strasznie. Pytam, czy jako urzędujący wiceprezes SGP uważa, że w Polsce powinien być zintegrowany jeden PZGiK. Mówi, że tak, będzie to taniej i lepiej. To o co chodzi? A on na to: Minister głowę mi urwie. Pocieszałem go, jak mogłem, a sprawa ruszyła z „kopyta" i za pół roku mieliśmy połączony zasób. A kolega głowę zachował.

W poniedziałek, po tej pracowitej sobocie, poinformowałem prezesa, że trochę narozrabiałem i pokazałem mu to pismo, żeby przygotował się na trudną rozmowę z ministrem rolnictwa. Podziękował mi bardzo i zachęcił, żeby działać tak dalej. Teraz tak się nie da, bo nie mamy ministrów generałów. Ale niekonwencjonalne drogi zawsze są, tylko trzeba mieć odwagę z nich korzystać.

Odpowiadać niezwłocznie

Na skargi i pisma należy udzielać odpowiedzi niezwłocznie, a najpóźniej w ciągu miesiąca (kpa). Zasadę tę zawsze uznawałem za bardzo ważną. Wszyscy moi podwładni w GUGiK o tym wiedzieli. Nagle dowiaduję się, że jeden z pracowników ma kilkanaście skarg przeterminowanych nawet do 3 miesięcy. Wzywam go i pytam o przyczynę. On stwierdza, że to tak trudne sprawy, że nie da się ich załatwić w terminie. Poprosiłem o akta wszystkich tych spraw. Wyłączyłem się z bieżących problemów na dwa dni. Zapoznałem się z każdą sprawą, dzwoniłem do geodetów wojewódzkich o pilne przesyłanie brakujących informacji faksem. Po dwóch dniach wszystkie odpowiedzi były gotowe. Poprosiłem tego pracownika o załatwienie na hali maszyn ich przepisania. Czwartego dnia od pierwszej naszej rozmowy pracownik przynosi wszystkie odpowiedzi. Podpisałem je, ale widzę, że kładzie mi na biurku jeszcze jedno pismo. Co to jest? A on mówi, że udowodniłem mu tą akcją, że nie nadaje się do pracy w urzędzie i prosi o zwolnienie. Nie miałem takiego zamiaru, chciałem tylko pokazać, że jak się chce, to można. Niestety, obecnie obserwuję, że w dziesiątkach przypadków lekceważy się kpa bardziej niż kiedyś. Proponuję wprowadzić za takie zaniedbania dotkliwe kary, oczywiście finansowane z pensji pracownika, a zjawisko to zniknie w 90 procentach.

Szukajcie, a znajdziecie

Zgłosił się do naszej firmy Anglik polskiego pochodzenia z prośbą o odnalezienie dokumentów dotyczących majątku jego dziadka. Wiedział tylko, że majątek ten położony był nad Narwią w pobliżu Pułtuska. Jedziemy na rekonesans. Zbliżając się do Pułtuska, widzę drogę obsadzoną drzewami, a obok starszego człowieka, który grabi trawę. Pytamy, czy nie słyszał o majątku i tu podajemy nazwisko dziadka naszego zleceniodawcy. A on zdziwiony: Skąd panowie wiedzieliście, żeby właśnie mnie o to zapytać? Znam majątek doskonale, bo jako chłopiec bawiłem się z synem tego dziedzica!

Nie wierząc swojemu szczęściu, dostaliśmy od niego starą mapę majątku z numerem księgi hipotecznej. Uzyskaliśmy także kopię tej księgi z sądu. Po zamówieniu kopii mapy ewidencyjnej mogliśmy opracować dokumentację dla wnuka, który nie wierzył własnym oczom. A puenta jest taka. Nasz zleceniodawca był producentem najdroższych koszul w Londynie. Za naszą pracę, z własnej woli, otrzymaliśmy równowartość dwóch koszul. Kasa mała, ale satysfakcja duża.

Mimo wszystko człowiek

Niektórzy twierdzą, że obecnie to inna geodezja niż kilkadziesiąt lat temu. Mają na pewno rację, jeśli chodzi o technikę, internet i najnowsze narzędzia. Pewne rzeczy można zrobić znacznie łatwiej i szybciej niż kiedyś, ale to nie komputer, GPS czy ploter myślą, bo od myślenia jest człowiek (wysokiej klasy specjalista). Czerpanie z doświadczeń poprzedników to także wielka sztuka i nadzieja na ciągłe doskonalenie. Wiem to bardzo dobrze, dlatego jestem pełen uznania dla moich mistrzów. A na zakończenie – jako uzupełnienie punktu o pracy społecznej – dobra rada Arystotelesa: Człowiek jest w pełni człowiekiem dopiero wtedy, kiedy obok troski prywatnej ma również troskę publiczną.

Bogdan Grzechnik

doświadczony pracownik administracji geodezyjnej, w tym szczebla centralnego, następnie wykonawca, współwłaściciel firmy geodezyjno-prawnej Grunt, społecznik, aktywny działacz Stowarzyszenia Geodetów Polskich oraz Geodezyjnej Izby Gospodarczej, której wiele lat prezesował